

Sojusze jak róże?

Kiedy pięć lat temu w Stanach Zjednoczonych w Independence minister spraw zagranicznych Bronisław Geremek składał podpis pod dokumentem stanowiącym o członkostwie Polski w NATO, a w Warszawie na placu Józefa Piłsudskiego w świetle reflektorów wciągnano na maszt obok polskiej flagi flagę NATO, wszyscy mieli poczucie historycznej skali tej chwili.

Odzyskanie przez Polskę w 1989 r. suwerenności oznaczało przecież co prawda koniec konfrontacyjnego podziału Europy, ale sytuowało Polskę w szarej strefie poza integrującym się w różnych formach obszarem euroatlantyckim, a więc tam, gdzie ZSRR, a później Rosja chciała, jeśli nie odtworzyć swą dominację, to przynajmniej umocnić wpływy i utworzyć własną strefę buforową.

12 marca oznaczał więc definitywny kres Jałty rozumianej jako uznanie całej Europy Środkowo-Wschodniej za obszar dominacji radzieckiej i przekreślenie wszelkich nadziei, którym tacy politycy rosyjscy jak Władimir Żyrinowski dawali często wyraz na powrót w jakiejś formie do przeszłości.

Przekonaniu o historycznej wadze tamtej chwili towarzyszyło jednak także poczucie ogromnej ulgi. Oto bowiem okazywało się, że Polska podołała wszystkim stawianym przez sojusz północno-atlantycki warunkom i cały proces wymaganej na pierwszy dzień członkostwa adaptacji polskich sił zbrojnych do standardów NATO zakończył się pomyślnie. Nie było to wcale łatwe zadanie. Świadomość ogromu trudności, a także waga historycznej stawki, o jaką chodziło, sprawiały, że nasze przygotowania były nie bez sporej dozy nerwowości obserwowane bacznie przez polską i światową opinię publiczną. Prasa co chwila stawiała znaki zapytania co do możliwości wypełnienia przez Polskę warunków, często – niestety – ulegając nastrojom i ferując oceny przesadnie pesymistyczne.

Rząd także chciał niezwykle skrupulatnie śledzić stan przygotowań. Co dwa tygodnie minister obrony narodowej musiał składać Radzie Ministrów na piśmie bardzo szczegółowe sprawozdania, które uprzednio było także analizowane przez Komitet Spraw Obronnych. Trzeba dziś, rozumiejąc potrzeby kontroli, uznać jednak, że przygotowywanie tych raportów i ich prezentacje angażowały bardzo wiele osób i zajmowały dużo czasu, którego tak bardzo wtedy brakowało.

Test beniaminka

Niemal natychmiast po przystąpieniu przed Polską i jej siłami zbrojnymi pojawiły się jednakże kolejne wcale niełatwe wyzwania. Nabrzmiwiający od dłuższego czasu kryzys w Kosowie postawił sojusz wobec konieczności przeciwstawienia się drastycznym i masowym łamaniom praw człowieka na tym terytorium. Rozpoczęta pod koniec marca 1999 r. akcja wojskowa była pierwszą operacją „wymuszania pokoju” w dziejach NATO.

Ze względu na jej charakter (w zasadzie wyłącznie akcje lotnictwa) Polska nie mogła wówczas brać w niej czynnego udziału. Niemniej jednak żołnierze nasi pojawili się w końcu w Kosowie, a także w Albanii, a lotnicy wykonali wiele lotów transportowych, kursując między Włochami a terenem dawnej Jugosławii. Zgodnie z powszechną w NATO opinią Polska swój debiut sojuszniczy zarówno w wymiarze politycznym, jak i wojskowym przeszła doskonale. W samych strukturach sojuszniczych Polska stawała się również coraz bardziej ceniona. Powodem do satysfakcji stało się wygrywanie przez polskich oficerów i generałów, i to już w pierwszym okresie członkostwa, otwartych konkursów na ważne stanowiska w dowództwach NATO.

Na rozdrożu

Rozwój NATO nie przebiegał jednak tak, jak to sobie (nie my jedni zresztą) wyobrażaliśmy. Zasadnicze pęknięcia w tym jakże uprzednio zwartym sojuszu pojawiły się po zamachu 11 września. Co prawda NATO w zrozumiałym odruchu solidarności przywołało po raz pierwszy w swojej historii słynny art. 5 traktatu waszyngtońskiego, uruchamiając tym samym mechanizm wzajemnych gwarancji bezpieczeństwa. Stany Zjednoczone nie uznały jednak za stosowne z oferowanej pomocy skorzystać. Zakwestionowano więc skrętnie i przez dziesięciolecia tworzone przekonanie, że jeśli zastosowany zostaje art. 5, to NATO niejako automatycznie przejmuje organizowanie odpowiedzi na atak i wciąga do działań wszystkie kraje sojusznicze.

Można zrozumieć niechęć USA do przekazania NATO sprawy organizacji akcji wojskowej w Afganistanie. Pomijając kwestie czysto psychologiczne (nas zaatakowano, więc to my musimy, i to natychmiast, odpowiedzieć), trzeba też przyznać, że NATO nie miało stosownych dowództw, aby pokierować poważniejszą operacją tak daleko od swego terytorium. Akcję w Kosowie mogło z powodzeniem prowadzić regionalne dowództwo z Neapolu, ale Afganistan to całkiem co innego. Znajduje się on w obszarze operacyjnym amerykańskiego Dowództwa Centralnego (CENTCOM), z którym NATO nie miało żadnych powiązań, a przecież siły amerykańskie tego właśnie dowództwa musiałyby stanowić trzon wojsk interwencyjnych. Należy dodać jeszcze jeden czynnik, a mianowicie znaną powszechnie małą zdolność europejskich członków NATO do sprawnego wysłania daleko od swych baz znaczących sił interwencyjnych.

Nic więc dziwnego, że w sytuacji, kiedy się okazało, że całkiem odwrotnie niż w czasie zimnej wojny to właśnie Stany Zjednoczone padają jako pierwsze ofiarą agresji, na którą NATO nie jest przygotowane, zaczęły w USA padać pytania, czy NATO jest w ogóle Stanom Zjednoczonym potrzebne. Co prawda zastępca sekretarza obrony USA Paul Wolfowitz powiedział rok temu, że „sojusz nigdy nie był silniejszy niż dziś i nigdy nie był bardziej zjednoczony”, jednak to stwierdzenie stoi w jaskrawej sprzeczności z powszechnym niemal poczuciem, że NATO jest na rozdrożu. Pojawiły się wręcz głosy o końcu NATO.

Czy aż tak daleko posunięty pesymizm jest jednak usprawiedliwiony?

Generał de Gaulle powiedział kiedyś, że sojusze są jak róże – przekwitają. To prawda. Wieczne jest podobno tylko wieczne pióro (choć dziś już mało używane). Czy jednak Polsce powinno zależeć na tym, by sojusz, w którym członkostwo było dla nas (i nie tylko dla nas) czymś tak niesłychanie ważnym, uległ całkowitej marginalizacji?

Warto przede wszystkim sprawić, by NATO stało się ponownie ważne dla USA. Jeśli się tak nie stanie, jeśli Waszyngton uzna sojusz za nieistotny i będzie czysto formalnym i biernym członkiem tej organizacji, NATO wkrótce podzieli los Unii Zachodnio-Europejskiej, która formalnie nadal istnieje, ale nikt poważnie się nią nie przejmuje. Trzeba też pamiętać o tym, że Stany Zjednoczone były podstawowym (choć nie jedynym) czynnikiem dynamizującym i twórczym w NATO, zasilającym je nowymi pomysłami zarówno co do celów, jak i sposobu działania. Innymi słowy, dzięki aktywności Waszyngtonu sojusz miał jasne, akceptowane i silne przywództwo tak niezbędne dla skuteczności działań.

Skrzynka z narzędziami?

Aby tak się stało, kraje europejskie winny wyraźnie zwiększyć swoje możliwości, jeśli chodzi o udział w działaniach ekspedycyjnych. To już się dzieje. Decyzje Wielkiej Brytanii i Francji dotyczące budowy nowych lotniskowców, zakupy wielu europejskich krajów NATO licznych samolotów transportowych i powietrznych tankowców, a także reformy sił zbrojnych, w tym polskich, zdają się o tym świadczyć. W końcu Stany Zjednoczone przy całej swojej potędze nie są w stanie zrobić wszystkiego. Już dziś widać, że przy zaangażowaniu paru dywizji amerykańskich w Iraku, konieczności otrzymania wojskowej

obecności w Afganistanie, na Bałkanach i na Dalekim Wschodzie (Korea Płd., Japonia i in.) i potrzebie posiadania rezerwy na ich wymianę (dotyczy to głównie Iraku) każdy nowy kryzys może postawić USA wobec problemu braku stosownych niezaangażowanych na innym teatrze sił zdolnych do natychmiastowego użycia i działania.

NATO nie może jednak stawać się, jak to formułują niektórzy, po prostu „skrzynką z narzędziami”. Łatwo bowiem zgadnąć, że może to oznaczać traktowanie zasobów państw członkowskich sojuszu jako pewnej „rezerwy” dla ewentualnych działań Stanów Zjednoczonych. NATO musi pozostać przede wszystkim sojuszem obronnym, podstawowym dla stabilności i bezpieczeństwa europejskiego, jako że ambicje Unii Europejskiej (przynajmniej na razie) nie wykraczają poza wspólne działanie w wypadkach ataku terrorystycznego czy też tzw. miękkich zagrożeń. Tak więc nadszarpniętą wiarygodność sojuszu, jeśli chodzi o gwarancje bezpieczeństwa, należałoby jak najprędzej przywrócić nie tyle ze względu na aktualną pilną potrzebę (takiej na razie – na szczęście – nie widać), ile by nie trzeba było tego robić gwałtownie (a więc zapewne z gorszym skutkiem) kiedyś w przyszłości.

Nierozdzielność bezpieczeństwa

Sprzyjać temu by mogło przywrócenie zakwestionowanej po 11 września zasady nierozdzielności bezpieczeństwa Europy i Stanów Zjednoczonych. Tak więc z jednej strony USA powinny czasem poświęcić kwestie szybkości czy organizacyjnej sprawności na rzecz zaangażowania swych europejskich sojuszników w podejmowane w samoobronie działania. Z drugiej zaś, byłoby lepiej, gdyby Europa, choćby symbolicznie, starała się angażować Stany Zjednoczone w takie operacje jak niedawna operacja „Artemis” w Kongo.

NATO powinno też w większym niż dzisiaj stopniu być forum poważnej transatlantyckiej debaty na temat podstawowych zagrożeń i wyzwań, przed jakimi stoi cała transatlantycka wspólnota. Chodzi tu o takie sprawy, jak konflikt izraelsko-palestyński, Irak, Iran czy nawet Korea Północna. Na tym forum warto byłoby też zająć się sprawą podniesioną przez sekretarza generalnego ONZ Kofiego Annana, a mianowicie zaproponowaniem warunków dostatecznych (a może tylko wystarczających) do uzasadnienia potrzeby zdecydowania przez ONZ podjęcia działań prewencyjnych bądź uprzedzających, a także kwestią, kiedy NATO mogłoby podejmować działania bez wyraźnego mandatu Rady Bezpieczeństwa, jak to uczyniło przecież w Kosowie.

Czym będzie NATO i czy w ogóle przetrwa jako sprawna, zwarta organizacja oparta na poczuciu dzielenia wspólnych wartości i działająca w duchu solidarności na rzecz wspólnych celów i interesów – o tym zdecyduje kształt stosunków transatlantyckich. Na to z kolei rzutować będzie to, czym Europa zechce być. Czy stając się supermocarstwem i globalnym graczem, będzie traktować USA jako rywala, któremu rzuci rękawicę, czy też jako niezbędnego partnera we wspólnym rozwiązywaniu wielkich problemów obecnego wieku. Dziesięć lat temu w czasie obchodów 40. rocznicy lądowania aliantów w Normandii prezydent Reagan powiedział: „Wasze nadzieje są naszymi nadziejami i wasze przeznaczenie jest naszym przeznaczeniem”. Byłoby dobrze móc to powtórzyć w czasie zbliżającej się 50. rocznicy tego wydarzenia.

Janusz Onyszkiewicz